

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Nareszcie pogoda. — Czyją ona zasługą? — Wycieczka do Mogiły i Zakopanego. — W Poroninie otrzymuję palmę męczeńską. — O tak zwanych rampach kolejowych. — Troszkę samochwalstwa. — Do wiadomości pań Dulskich. — Czesi w Krakowie. — Krakowskie toasty a czyny Koła Polskiego. — Zmiana gabinetu i jej skutki dla Galicji. — Petryckiego przystęp. — Wyciąg z polityki zagranicznej).

Pokazuje się, iż narzekania i reklamacye we właściwym czasie i pod właściwym wniesione adresem, odnoszą zawsze pożądany skutek. Tak ma się rzecz i z moimi kilkakrotnymi stękaniami nad zmiennością aury i interpelacją do niebieskiego referenta od pogody i temperatury. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniło się w jednej chwili, po deszczu i zimnie mamy pogodę i upał. Przeciętny Krakowianin, mogący się poszczycić co najmniej stu kilogramami żywej wagi, ucieka w sklepienie zaciśnięte krakowskich piwiarni i tu, obcierając kroplistą pot, jaki ciurkiem leje się z jego wysokiego czoła, pomstuje na tego, kto wynalazł gorąco. Ze względu, iż ciągle nawołują nas do życia higienicznego, stara się też każdy zrównoważyć ubytek wody w swym organizmie odpowiednią ilością świeżo doprowadzonych płynów, między którymi w bieżącym tygodniu prym trzymał pilzner. Trenowaliśmy się, by przyjazd braci z nad Wełtawy nie zastał nas nieprzygotowanych. Niema się temu i co dziwne, dziś taka już cała świat ogarnęła gorączka sportowa, iż każdy ćwiczy się, jeden w jeździe balonem, inny w auto, inny wreszcie na rowerze, a każdemu przyświeca zdala jeden ideał: mistrzostwo światowe. Dlaczegożby więc, używając naszego c. k. ojczystego języka, *unser einer* miał być gorszym? Skoro nie możemy inaczej, starajmy się o mistrzostwo światowe, choćby na polu naszej krajowej a uprzywilejowanej propinacji, będziemy mieć z tego my przyjemność, a kraj i rząd pożytek.

Zachodzi teraz pytanie, czyją zasługą jest owa pogoda i upał, moja, który o nią przez parę tygodni kołatałem, a wiadomo, że cierpliwość jest jedną z najpiękniejszych cnót, czy też komitetu przyjęcia Czechów, który się o nią w drodze urzędowej postarał. Ze względu na znane oddalenie nieba od ziemi jestem prawie pewny, że dopiero moje kołatania tam doszły, przypomnienie zaś urzędowe komitetu jest jeszcze w drodze. Jeśli zaś w niebieskich załatwiają „kawalki“ wedle tego, jak wpłyną do dziennika podawczego, pochlebiam sobie, że uwzględniono moje żądania, a podanie komitetu nadejść odpowiedź w swoim czasie, to jest, biorąc miarę ze stosunków galicyjskich, prawdopodobnie gdzieś w grudniu, jeśli *nota bene* nie zwrócą jeszcze kilkakrotnie aktów celem uzupełnienia ich nowymi załącznikami.

W każdym razie pogoda jest! Skorzystałem więc i ja z niej skwapliwie i mając do wyboru dwie przyjemności: wycieczkę do Zakopanego lub podróż statkiem parowym do Kopańca pod Mogiłą, wybrałem pierwszą, już dla tej okoliczności, iż tam niema mojej żony.

I pokazało się, że miałem rację. Jeden z moich znajomych, który na falach królowej rzek polskich pożeglował do Mogiły, narzekał po powrocie i kłął, na czem świat stoi. W drodze na parostatku wygnieciono go do tego stopnia, że chciał wypocić duszę, na miejscu o mały figiel nie zginął z głodu i pragnienia. Zirykowany, wybrał się piechotą do Czyżyn, miał jednak tak czarnego pecha, iż o pięć minut spóźnił się do pociągu i musiał *per pedes apostolorum* dymać do Krakowa. Jest to umartwienie o wiele przyjemniejsze w wielkim poście, niepożądane jednak wcale w czasie wakacyjnego upału.

Pełen dobrej myśli umieściłem swe grzeszne cielsko w wagonie kolei państwowej i pociągiem, na który w każdą sobotę wszystkie małżonki z taką oczekują niecierpliwością, powędrowałem w stronę Zakopanego, ciesząc się już w myśli zabawą, jaka mnie czeka. Niestety, przerachowałem się i ja nieco. Bawiłem się wprawdzie w samym Zakopanem i Poroninie bardzo dobrze, o mały figiel jednak nie zdobyłem palmy męczeńskiej, do której, mówiąc nawiasem, na razie wcale nie wdycham. Byłoby to nawet bardzo przyjemnie dla świętych Pańskich, gdyby w ich gronie znalazł się nagle kronikarz i humorysta (a takiego tam dotąd niema, o ile znam kalendarz), sądzę jednak, iż byłbym zasmucił liczne grono Szanownych Czytelników, z którymi przecież wspólnie myślę i czuję, dla których dobra i rozweselenia skierowane są wszelkie moje wysiłki.

Rzecz się tak miała. Już w Zakopanem chciałem rozjechać moją cielesną powłokę jakiś szybko pędzący automobil, miałem jednak czas uskoknąć na bok. Wprawdzie przy tej sposobności o mało co nie nabiłem się na wystającą na pół metra z jakie-

goś damskiego kapelusza secesyjną szpilkę, wyszedłem jednak cało z tej opresji i tem się zupełnie nie chwale, gdyż na podobne przygody każdy mieszkaniec większego miasta, gdzie są automobile i damskie modne kapelusze, ciągle jest narażony. Daleko jednak gorzej było w Poroninie! W liczniejszym towarzystwie wracaliśmy furką z wycieczki i zupełnie spokojnie, w samym centrum owego letniska wjechaliśmy na tor kolejowy, aby zdążyć do dworca. Noc była ciemna, sygnałów ostrzegawczych żadnych, byliśmy więc pewni, iż nic nam nie grozi. Gdyśmy byli właśnie w połowie toru, który w tem miejscu się zagina, nagle z poza wału wysunęła się lokomotywa i gdyby nie przytomność umysłu powożącego górala, który zaciął konie, i ja i moi towarzysze bylibyśmy powiększyli liczbę męczenników, których pamiątkę obchodzilibyśmy uroczystie corocznie w dniu 8 sierpnia, jako w dniu ich męczeństwa. Wystarczyło kilka sekund, a byłoby po wszystkim!

Na dworcu w Poroninie zapytałem ciekawie, czy wynalazki z ubiegłego stulecia, zwane zamykanymi rampami kolejowymi, nie są tu znane, oświadczono nam jednak, że na całej tej przestrzeni, t. j. od Chabówki do Zakopanego, ramp niema, są natomiast słupy z napisami: Baczność na pociąg! Wzrusza mnie ta troskliwość zarządu kolejowego o całość przejeżdżających lub przechodzących tamtędy, ale sobie znowu myślę, iż nie jest to wystarczającym, w tak uczęszczanym miejscu, jak właśnie ów przejazd w Poroninie, boć w nocy słupa owego, ani zbliżającego się pociągu często nie widać. Dawniej, gdy lokomotywy gwizdały, był to dobry znak ostrzegawczy, dziś, gdy im tej przyjemności zakazano, suną cicho i zagrażają ludzkiemu bezpieczeństwu. Opowiadano mi w Poroninie, iż w bieżącym roku jest to już czwarty wypadek w tem miejscu. Trzy poprzednie skończyły się gorzej, kazano mi się więc uważać szczęśliwym, iż wyszedłem bez szwanku, tylko z przestraszaniem.

Ha, skoro tak powiadają, to jestem rzeczywiście zadowolony, bo mi wiele do szczęścia nie potrzeba, myślę jednak, że i kolej powinna podskakiwać z radości (niestety czyni to i tak na kiepskich progach), iż wyniosłem z tego zajścia nienaruszoną powłokę, gdyż w razie katastrofy byłaby musiała zapłacić za mnie parę milionów. Moja żona nie byłaby się zapewne ubiegała o odszkodowanie za stratę męża, gdyż od dawna powiada, że jestem do niczego, wy dawnictwo jednak „Nowości Ilustrowanych“, zażądałoby go było z pewnością, tracąc tak znakomitą siłę, jaką ja jestem! Nie lubię się chwalić, ale mimochodem muszę wspomnieć, iż od roku otrzymałem przeszło dwie kopy listów miłosnych od panien w wieku od lat 14 do 59, które przeczuwając, iż jestem kawalerem, w „dank“ za piękne kroniki ofiarowują mi rękę i serce. Na te pokusy jestem nieczuły, mam dwie ręce i te mi wystarczą, trzeciej nie potrzebuję, serca pod żadną postacią nie lubię, wolę flaczki, nerki lub wątróbkę. To jednak jeszcze nic! Otrzymałem nadto kilka listów od mężczyzn, pełnych wynurzeń miłosnych i posadzających mnie, iż pisząc, tylko udaję męczyznę, w rzeczy zaś samej jestem kobietą, co można poznać z delikatności uczuć, zdołających moje kroniki. Niestety, mylą się owi panowie. Na dowód, że jestem mężczyzną mogę im służyć metryką chrztu, wystawioną zupełnie formalnie.

Wracając jednak do owej przygody w Poroninie jestem pewny, iż wielu naszym paniom Dulskim, skoro ją przeczytają, nadarzy się sposobność do oburzenia się na przewrotność tego świata. Oho! to palec karzący sprawiedliwości Boskiej! — powie z nich niejeden — kto wie, co to było za towarzystwo, które późno w nocy wracało! Niebiosa chciały pomścić oszukiwanie biednej żony przez niewiernego słomianego wdowca, a jeśli marnie nie zginął, to tylko dowód, że Bóg wysłuchał jej prośb, które codziennie zanosi na jego intencję, a chciał go ostrzedz, by, póki czas, cofnął się z drogi nieprawości, po której chadza! — Niech się jednak uspokoją czcigodne moralistki, całe nasze towarzystwo, składające się z sześciu osób i woźnicy, należało do rodzaju męskiego.

W podobny, jak ja sposób, z ciepłego i ładnego powietrza korzystało bardzo wiele osób, skazanych na pobyt w mieście, w czasie wakacyjnym. Na niedzielę opustoszał Kraków, kto nie mógł dalej, spieczył choć do Parku Jordana lub Krakowskiego ogrodu, aby, o ile gorąco na to pozwoli, odetchnąć świeżym powietrzem. Część ojców miasta pozostała, radząc nad godnym przyjęciem braci Czechów, którzy w poniedziałek przybyli do Krakowa. Na ich przyjęcie udekorowano domy flagami i przygotowano wiele mówek i toastów, mających zadokumentować jedność ludzi słowiańskich, zamieszkujących kraje austriackie. Najpiękniej ideę tę pojęli niekto-

rzy obywatele z Kazimierza, którzy w imię owej jedności wywiesili ze swych okien czarno żółte chorągwie.

Przyjęcie, jak skądinąd Szanowni Czytelnicy już wiedzą, wypadło bardzo poważnie i uroczystie, dziwnie jednak odbijały mowy, wygłoszone w Krakowie a wzywające do łączenia się przeciw wspólnemu wrogowi, grożącemu od Zachodu, od czynów reprezentacji polskiej we Wiedniu, która przemysłowa o sojuszu z Niemcami, contra większości słowiańskiej. Sojusz Polaków i Niemców przypomina zupełnie owe znane z bajki, umizgi lisa do gęsi, lub przyjaźń psa i kota, boć wiadomo, że jak ogień i woda nie mogą się znieść wzajemnie, tak też rozchodzą się interesy Polaków i germańskiej nacji, nie mające i nie mogące mieć nic ze sobą wspólnego. Sztuczny sojusz, zlepiiony na jakiś czas, choć na oko przedstawia się może korzystnie, w skutkach swoich musi być oplakany.

Dziwi mnie też niepomierne, iż nasi wielcy politycy, zamiast używać wywczasów wakacyjnych, choćby nawet na kredyt, gdy im dyet odmówiono, dobrowolnie skazują się na pobyt we Wiedniu, gdzie gorąco musi przecież ujemnie oddziaływać na ich umysły. Jak fama niesie, rozchodzi się obecnie o przewrzenie gabinetu barona Bienenrtha, a tego przedsięwzięcia podjęła się spółka pod kierownictwem dra Głabińskiego. Według projektu ustąpić mają ministrowie skarbu, sprawiedliwości i robót publicznych, aby zrobić miejsce dla mężów przyszłości i powiększyć liczbę ministerjalnych emerytów, co do których Austria uzyskała już rekord światowy. Nasza zmiana obchodzi o tyle, iż miejsce dra Bilińskiego, który, jak sam powiada, ma spakowane kufry, bo nie jest pewny ani dnia, ani godziny, ma zająć podobno obecny namiestnik, ekscelecja Bobrzyński. Zawakowałaby więc wówczas posada namiestnika dla Galicji, którą w imię słuszności powinno się ofiarować któremuś z ruskich mężów stanu. Kandydatów jest dość, jeśli bowiem nie nadawałby się ataman Siczowników pan Kiriło Tryl, lub obdarzony pięknym głosem Budzynowski, z ufnością możnaby rządy zachodniej Ukrainy (tak nazywa się wschodnia część Galicji w geografii hajdamackiej) powierzyć panu Petryckiemu, który przecież niedawno na rynku w Kopyczyńcach pasowany został na rycerza przez profesora tamtejszego ukraińskiego prywatnego gimnazjum. Pomiedzy rodakami przyszło do wymiany czułości z powodu honorarium. Pan Petrycki, jako widoma głowa owej szkoły, wypłacił p. Chomikowi za wiele, a ten zwrócił mu zaraz resztę, ku ogólnemu zadowoleniu kopyczyńskiego mieszczaństwa wszelkiej narodowości i wyznania, którzy ryczeli z radości, widząc w jakiej pan poseł jest opresji. Nic to jednak nie przeszkadza, że choć się pobili publicznie, pan Petrycki może bardzo ładnie pokierować sprawami kraju i raz przecież, jako namiestnik zrobić porządek z Lachami, bez których się w Galicji obejść nie da. W takim razie kierownictwo krajowej sprawiedliwości powinienby objąć Siczynski, komendę wojsk narodowych dr. Tryl, a jestem pewny, że pod rządami tej trójcy Galicja stałaby się z czasem sławnym krajem, sławniejszym nawet, niż Serbia lub Czarnogóra.

To są horoskopy na przyszłość, czy jednak się spełnią, tego na pewne powiedzieć nie mogę. Konferencja przewodców stronnictw w Wiedniu odbędzie się dopiero dnia 17 sierpnia, a tymczasem nie można się nic konkretnego dowiedzieć, gdyż telefon Kraków-Wiedeń, jak zwykle nie funkcjonuje. W każdym razie można się spodziewać, iż jesienna sesja Rady państwa zastanie już gabinet dra Bienenrtha odświeżony po raz trzeci.

Aby wreszcie nie stracić z oczu wątki europejskiej polityki należy zaznaczyć, że rok bieżący nawet w czasie ogórkowym zostaje ciągle pod znakiem Marsa i Bellony. Austria, która, jak wiadomo, ma szczęśliwą rękę, zrobiła dobry początek na wiosnę ze Serbią. W ślad jej idą obecnie i Turcja i Grecja, Hiszpania i Kabyle, Japonia i Chiny, Boliwia i Argentyna, zespół, jakiego niejednego tancmistrz może pozazdrościć. Największy kłopot możemy mieć chyba z zatargu Turcy z Grecją o Kretę, a położenie staje się tam coraz drażliwsze, od kąd reszta Europy zaczyna się mieszać do sporu i występować w roli uczciwego pośrednika. Wiadomo zaś, co znaczy takie pośrednictwo, że jest to włożenie kija w mrowisko, bo godzącym właśnie o to chodzi, aby zapaśnicy wzięli się za bary, można bowiem przy tym ogniu upiec pieczeń i dla siebie. X.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną
KAWIARNIA J. BISANZA
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter.